

Od Administracyi.

Upraszamy o nadsyłanie przedpłaty. Wynosi ona rocznie z przesyłką do domu 5 koron, półrocznie 2 K. 60 hal., kwartalnie 1 K. 40 hal.

Adres Administracyi: Lwów, Rynek I. 44, I. piętro.

M. W.

Baba Motra.

III.

Krzyż był prosty, ciesielskiej roboty, od siekiery, nie było na niem żadnego znaku męki pańskiej, tylko na pionowym drzewie w kilkunastokrotnej wysokości od ziemi, niewprawną ręką była wyrzeźbiona trupia głowa, spoczywająca na dwóch kościach gołenionych, a ponad nią trzydzieści czarna, spłowiała farba zrobionych punktów, wielkości trojaka, oznaczających 30 srebrników Judasza.

Miejsce to, dobrze znane podróżnym, nazywano Kapliczką, była to poprostu studnia przy drodze na stepie, nad nią ktoś własną ręką zbudował kapliczkę, która pobożność ludu ozdobiła kilkunastu lichomalowanymi obrazami, a dziewczęta ukwieciły obrazy i obwieszały je pięknie ręcznikami.

Przy studni i kapliczce rosły dwie olbrzymie rosochate grusze, w cieniu których spoczywali zawsze zmęczeni i spragnieni podróżni.

Już dobrze z południa orszak podróżny rozlokował się pod gruszkami. Na wszystkich twarzach znać było jakieś milczące pognębienie. Zanim jeszcze usiedli na ziemi, wyciągnął któryś z podróżnych glinianym dzbankiem wody i po kolei wszystkich obdarzył. Kto miał co do zjedzenia, wydobywał z torby podróżnej i jadł. Wszyscy spoczywali, nie spoczywała tylko Motra, dała dzieciom po kawałku chleba, a sama poszła w step zbierać suchych bodiaków i trawy, aby było przyczem kuleszu zgotować dla męża i dzieci. Dzieci pokładły głowy na kolanach ojca i z chlebem w rękę, do połowy zjedzonym posnęły. Zmęczenie głód przemogło. Zamyślony i zaspiony siedział na ziemi Kalenyk i z bólem, schowanym głęboko, martwym, powolnym wzrokiem wodził po dalekiej bezludnej okolicy, niekiedy zatrzymując spojrzenie swoje na śpiących dzieciach. Długo patrzył się w ich blade, zmęczone twarzyczki, pokryte kurzem i potem, i znowu wzrok zagłębiał w siebie samym.

Nadeszła Motra, nalala wody i powiesiła kociołek, rozłożyła ogień w milczeniu i zamyśliła się także.

W duszy jej walczyły dwa uczucia, dwie myśli: miłość dla męża i niepewność. Nie chciała przypuścić, ażeby ten, którego znała i kochała od dziecka, z którym przeżyła kilka lat w spokoju i pracy, którego każdą myśl najskrytszą znała, aby ten człowiek pokalał swoją duszę i ręce krwią

niewinną. Zły duch podszeptował jej czasem zwątpienia: a może... ludzie mówią, że widzieli go, jak uciekał.

Wtedy żal czuła do niego... Na cóż mnie kochał tak długo, na co brał mnie za żonę, kiedy ze zbrodnią nosił się w duszy — po to tylko, aby mnie i dzieci zaprzepaścić na wieki? Łza błyszczała w jej zamysłom oku, a żal wielki ścisnął na bolące serce. Ale kiedy rzuciła wzrokiem na zaspionego, jak orzeł, męża, na śpiące u jego kolan dzieci, zwątpienie opuszczało ją. Nie, to nie on.

On przecież kocha i mnie i te dzieci, czyż on mógłby być zabójcą, wiedząc o tem, że krew niewinna spadnie kiedyś karą na jego dzieci.

Mimowolnie wzrok Kalenyka spoczął na krzyżu, pocerniałym od słońca i deszczu, na srebrnikach Judasza, potem powoli spojrzał na śpiące dzieci.

— Biedne wy, ptaszęta moje, któż was karmić będzie?....

I wzrok błyszczący obrócił do Motry.

— Motro! nie daj im zginąć.... może Bóg da, że mnie uwolnią, że zbojęć odkryją, wrócę do was, a teraz ty sama pamiętaj o wszystkim...

Motra płakała. Zdawało się jej, że ktoś koło niej śmiał się, że jej szeptał do ucha: nie wróci, nie wróci...

Odpoczęli wszyscy, przedrzemali i kulesz już się ugotował. Dzieci i Motra ostatni raz zasiedli z ojcem koło kościółka. Zjedli kulesz i poszli do Humania. Już późnym wieczorem zastukano do bram więzienia, stojącego jakby na straży na skraju miasta w osamotnieniu.

Wysokie blade-żółte jego mury odbijały się wyraziście na dalekim, ciemnym tle stepu. Gdzieś tam jeszcze z poza krat połyskiwał czerwony promień światła: widać, że już spali wszyscy, a dalekiem echem płynęły i odbijały się na stepowej równinie nawoływania szyldwach, przeciągłe, monotonne: slu-u-uszaj.

Przez furteczkę w bramie, zegnąwszy się, przecisnął się Kalenyk i tylko słychać było zgrzyt zasuwających się żelaznych rygli. Motra została z dziećmi za bramą. Bolesć, żal, smutek tak ją pognębił, że stała, jakby zmysły traciła nieruchoma. Daleko połyskiwały ognie miasteczka, czasem doleciało urwane szczekanie psa lub od stepu śpiew pastuchów. Trzeba było dwie głowy dziecięce, które tuliły się przy niej, gdzieś do spoczynku ułożyć.

Do miasta nie miała iść po co, bo nie było czem płacić za nocleg. Rosa zwilżyła trochę ziemię i trawę, dzieci drżały od chłodu i płakały poraniwszy sobie nogi o trawę i bodiaki. Motra zdjęła z ramion torbę, położyła na ziemię, rozstała świtkę jedyną, jaką miała ze sobą i dzieci ułożyła do spoczynku: głowy ich oparła o torbę, a drugą poławą świty przykryła. Sama tuliła się koło nich na skraju.

Leżała, ale spać nie mogła. Myśli plątały się jej w głowie: to myślała o biednym mężu, którego zły los w mury więzienne zapędził, to o swojej przyszłości i dzieciach. Nie czuła ani głodu, ani zimna, bolesć głużyła wszystko.

Poczęło świtać. Zaszczebiotały skowron-

ki. Słychać było wyraźniej głosy ludzkie, nawoływania, ryk bydła. Mgła, jak dym błękitnawy, ścieliła się po równinie stepowej. Zdawało się, że mgła ta dusiła ją, cisnęła jej piersi kamieniem.

Oj nie dus tumaneczku.

Tumaneczku bracie...

Obudziły się dzieci, posiadały na ziemi i rozglądały się ciekawie po nieznanej okolicy. Motra wpatrywała się w kraty więzienne: zdawało się jej, że tam za kratami stoi jakaś biała postać i wabi ją. Zostawiła dzieci i poczęła zbliżać się do więzienia. Za kratami poznała męża...

— Idź do domu! — wołał. — Jak jest Pan Bóg na świecie, to jest i prawda...

Ledwie dosłyszała ostatnie słowa kiedy pomiędzy nią a głową męża błysnął bagnet żołnierza.

— Nie wolno mówić! — precz, bo wystrzelę...

Motra cofnęła się, ale wślad za nią rozległo się jeszcze wołanie Kalenyka:

Strzeż się Ułasa, bo to zły człowiek!

Motra wróciła do legowiska. Wyjęła z torby po kawałku chleba dla dzieci, ubrała się, przeżegnała więzienie i siebie i poszła stepem. Szła i obracała się w tył, oglądała się na mury więzienne, na okna zakratowane, gdzie bielą się jeszcze postacie męża. Odeszła daleko, już tylko w miejscu okien i krat widać było czarne punkty, i kiedy się tak wpatrywała w nie, echo stepowe powtórzyło jej cicho ostatnie słowa męża:

— Idź do domu...

Wróciła do domu. Trzeba było wracać do gospodarstwa do chaty. Kalenyk został na łasce losu i sprawiedliwości.

Kto był winien śmierci Semenowi, nie wiadomo. Dość, że wszelkie poszlaki wyraźnie wskazywały Kalenyka; sąd poszedł za temi poszlakami i skazał go do ciężkich robót, a potem na osiedlenie na sybirze. Kiedy wysłano Kalenyka? Nikt nie wiedział. Ktoś z ludzi Najowieckich, co był przypadkiem w Humanu, przyniósł jej wieść od męża: prosił Kalenyk Motry, ażeby do niego nie przychodziła, aby pilnowała gospodarstwa i domu: wkrótce potem rozeszła się po wsi głucha wieść, że Kalenyka wysłano na Sybir... Wieść ta legła jakąś pieczęcią przekleństwa na pozostałej rodzinie zabójcy; wszyscy odsunęli się od niej jak od zapowietrzanej. Przyszło ubóstwo i zmartwienie — zwyklotowarzysze ludzkiego życia. Nie pytano, iż męża niema, że robić nie ma komu, ciągniono Motrę na pańszczyznę, a w domu zostawało dwoje dzieci, nie było komu ich dopilnować, jeść dla nich ugotować. Póki było ciepło, dzieci chowały się po burzanach, pod płotkami sąsiednich sadyb, żywiły się dzikimi gruszkami — gnłkami rosnącej nad rowem olbrzymiej gruszy, lub kradzionymi kartoflami z sąsiednich ogrodów. Wieczorem dopiero wracała matka i dzieci zgłodzone, blade, zgłodniałe, jak młode wilczęta, przychodziły do chaty na wieczernę, składającą się z jaglanego krupniku i jęczmiennego chleba. W zimie tuliły się na piecu w kącie, chroniąc się od chłodu w stare łachmany kozucha.